

# Wstrętna prostytucja duszy

O apostazji  
Stanisława Przybyszewskiego

Kazimierz Piotrowski

**Stanisław Przybyszewski**  
Narodowe Archiwum Cyfrowe [Sygnatura: 1-K-2105a]



Życie jest jako takie skończone – zabawiliśmy się, a teraz koniec – jak powiedział brat Juliana Apostaty dając głowę pod nóż – zostaje tylko jego usprawiedliwienie w postaci dzieł dokonanych, konkretnych.

Stanisław Ignacy Witkiewicz,  
„Jedynе wyjście” (1932–1933)

Nie zamierzam zaczynać od tłumaczenia powodów, dla których cesarz Gallus, zgładzony przez Konstancjusza II w 354 roku, tak właśnie podsumował swoje okrutne, kilkuletnie rządy. Nie będę też zachwalał szczerą apostazji jego przyrodniego brata Juliana, gdy go zastąpił na tronie jako władca Konstantynopola. Cytując Witkacego, chciałbym zwrócić uwagę na inny przejaw apostazji w dziejach polskiej czy – szerzej – europejskiej kultury, w której wielu ją symulowało, nie będąc zdolnymi do ostatecznego zerwania z wiarą ojców. Nadal – jak podejrzewam – dzisiejsi apostości często udają tylko przegryzanie pepowiny łączącej ich z chrześcijaństwem, które zostawiają jednak na boku jako poręczny oręż (szczególnie w obliczu postępującej ekspansji wojowniczego islamu, bo tej nie może powstrzymać laicka Europa z Jürgenem Habermasem na czele – dziś bardziej spolegliwym wobec religii). Model, który zarysuję, opierając się na korespondencji i twórczości Stanisława Przybyszewskiego, wydaje mi się dość typowy i pouczający dla obecnego postsekularnego społeczeństwa (jakby duchowość zataczała krąg w powrocie do społeczeństwa przed sekularyzacją?). Bywa apostazja obecnie jeszcze bardziej nieszczerą, pełną hipokryzji niż dawniej, będąc usprawiedliwiona nie przez głęboką przemianę sumienia, lecz przez pragnienie stworzenia wielkich dzieł lub jeszcze coś gorszego? Przybyszewski, jeśli wierzyć jego wyznaniom, w młodszych latach pisał litanie, antyfony,

psalmy i mowy pogrzebowe. Wcześniej zaczął obserwować w sobie aspołeczne, zbrodnicze skłonności. Cóż ja za to mogę, że Bóg duszę moją naznaczył tem przekleństwem kainowem, że nie mogę się wdrożyć w tę codzienną koleję życia ludzkiego<sup>1</sup>. U podstaw tych pesymistycznych przemyśleń leżą lektury – między innymi „Fausta” Goethego. Pesymizm Przybyszewskiego wypływał z religijnego światopoglądu, przekształcanego przez romantyków, jak Krasieński, który pisał: Świat ten smętarzem z łez, ze krwi i błota, świat ten jak wieczna każdemu Golgota (2 VI 1885, s. 17). Podobnie jak romantycy, zwłaszcza naśladowany przezeń Słowacki, poszukiwał w poezji absolutyzmu i prawdy. Religia stawała się dlań tylko tworzywem, jak dla Novalisa. Zwłaszcza muzyka – ta najczystsza z muz – wyrastała ponad autorytet zepsutej religii. Sztuka była zdolna ująć prawdę bytu i ustanowić sens nowej epoki: Stoimy na przelomie, stary świat chrześcijański, feudalny świat despotów i pokornego bydła kona, a z jego popiołów nowy porządek rzeczy się utworzy. Tymczasem my musimy cierpieć, bo każdy nawet najdrobniejszy objaw naszego życia sformułował się w ciągłej walce z kłamstwem (12 IX 1889, s. 43).

Krytyka religii stanowiła najgłębsze dążenie sztuki. A narzędziem tej irreligii (terminu tego Przybyszewski nie używał) był socjalizm. Ideologia ta – ustanowiona przez chrześcijański altruizm – niszczyła kłamstwa socjalne i religijne, sztuka zaś zwalczała kłamstwo idealizowania rzeczywistości. Wszystkie te kłamstwa, połączone razem, tworzyły zakłamane społeczeństwo, które wierzyło dosłownie w swoje wytwory. A przecież wszystkie nasze czynności – twierdził Przybyszewski – są symbolami. Jest w tym wiele z nauki Słowackiego, który zabraniał poprzestawać na formach i formułach krępujących ducha. A! co za rozkosz budować

<sup>1</sup> Przybyszewski S., *Listy*, zebrał Helsztyński S., Warszawa 1937, s. 11. Dalej podaję tylko strony.

nowe fundamenta życia, wznieść na nich kościół dla prawdy, przekonać się potem, że nie może ogromu tego bóstwa przyszłości pomieścić, i iść dalej – w pustynię... (IX 1889, s. 47). Tam wyzwolony od dogmatów Przybyszewski mógł zastanowić się nad tym, co sprawia mu cierpienie, a co prawdziwą radość. Religia, która zabrania o to pytać, jest głupotą. Kościół, chociaż wykazuje niechęć na przykład do miłości zmysłowej, to jednak ją sankcjonuje, uświęcając przez sakrament małżeństwa. Jest w tym procederze dwuznaczny (s. 49). Przybyszewski silnie skojarzył już wówczas Kościół z polityczną zbrodnią, gdy pisał po porzuceniu w 1889 roku studiów na wydziale architektury w Technische Hochschule w Charlottenburgu w Berlinie: nienawidzę pałaców i kościołów jako siedliska wszelkich zbrodni współczesnych – byłoby zbyt tragiczne, gdybym je sam miał budować (IX 1889, s. 52). Zaczął wyrastać w nim z pesymizmu nawet pewien proletariacki fatalizm człowieka nowoczesnego, który został uformowany przez chrześcijańskie cnoty pietas czy caritas, ale nie może wiele zdziałać dla przezwyciężenia otaczającej go nędzy i cierpienia: Nowoczesny człowiek jest sensorywnym i altruistycznym – zdolnym odczuć wszystko, co innego cieszy lub smuci. Ale to pierwsze staje się chorobliwym, drugie trucizną, która krew zaraża. Ta niesłychana zdolność nowoczesnego człowieka reagować na wszystko co świat boli, przypomina drgania wrzodu, gdy go się poruszy (8 I 1890, s. 56).

Olsnieniem i zarazem wybawieniem było poznanie na przełomie 1889/1890 roku pism Nietzschego, który dopełnił jego studium ewolucjonizmu Spencera. Nietzsche sprawił, że nowy jego znawca (raczej niż wyznawca) stał się jakby immunizowany na pokusę taniego współczucia. I chociaż Przybyszewski nadal się angażował w socjalizm (czego ukoronowaniem było redagowanie socjalistycznej „Gazety Robotniczej” w Berlinie – chyba już tylko dla

chleba?), to coraz bardziej był przekonany, że nie tylko w religii, ale i w socjalizmie jest coś patologicznego – i jeszcze wciąż raz po raz uczuwał drgania wrzodu – to altruizm – patologii się pozbyłem. Jestem wesoły [...] co to za rozkosz być sobą. Chcieć tylko to co się umie, co zrobić można, na co siły starczą, więcej nic, bo wszystko, co poza to sięga, jest strasznie nienormalnem. To główne principium naszej etyki (s. 57). Skłaniał się ku tezie Nietzschego o fundamentalnej niesprawiedliwości życia, ponad którym trwa wyniosła postawa jego arystokratycznego radykalizmu. Nie wszystkie jego poglądy akceptował. Filozofię Nietzschego oceniał negatywnie, ale porwał go Zaratustra.

Żył w rozdarciu pomiędzy pozorowanym czy szczątkowym altruizmem i współczuciem dla ubogich a potrzebą głoszenia nowej wiary. Agitację socjalistyczną kierowaną z Berlina do Poznania i na Śląsk łączył więc z atakami na Kościół, którego dominacji się obawiał, obawiał jak i inni agitatorzy. Jedyną potęgę z jaką należało się, jego zdaniem, liczyć na Śląsku, była potęga księży. Poszukiwał więc argumentów w zwalczaniu konserwatyzmu społecznego religii katolickiej, studiując ciemne strony historii Kościoła. Centrala w Londynie nie solidaryzowała się z jego argumentacją, w której krytycznie odnosił się do pism Ojców Kościoła. Z Berlina donoszono centrali, że Przybyszewski pije, jest człowiekiem psychicznie słabym, zajmuje się okultyzmem i dekadencją, że przejmuje rozmaite sztuczki od swego mistrza (zapewne Strindberga?). Już wtedy powstawały zręby irreligijnej doktryny Przybyszewskiego. Ten wielki indywidualista sublimował swoje sny o potędze jako socjalistyczny towarzysz. Czuł się kierownikiem rodzącego się ruchu kilkutyśięcznego zastępu robotników w zaborze pruskim, co dawało mu poczucie panowania i potęgi. Ale za to poczucie mocy trzeba było zapłacić. Relegowano go więc z uczelni 1 lipca

1893 roku, co skomentował w słowach: Pracować nad zniszczeniem tak niesłychanej potęgi, jaką jest obecny ustrój społeczny, słyszeć jak się to wszystko chwieje, skrzypi, łamie to rozkosz nieskończona. A przede wszystkim to miłe uczucie, że nienawidzą mnie, widzieć, jak gazety całe łamy zapelniają, pełne nienawiści i jadu, by osłabić wrażenie moich artykułów, to sto razy piękniejsze, jak siedzieć na ławce zarówno z żydowskimi smarkaczami i słuchać głupich wykładów zdzieciniałych profesorów. To nie dla mnie. Zbyt silne mam poczucie wolności i absolutnego panowania mego Ja, aby się dać szkole tyranizować (10 I 1993, s. 73).

Gdy doszło do poważniejszej represji i Przybyszewski został czasowo aresztowany, gdy był przesłuchiwany i zagroziło mu widmo procesu oraz więzienia, wówczas roztrzęsiony zupełnie stracił pewność rewolucjonisty i zrezygnował z tego wątpliwego źródła zasilania swych dochodów: W politykę nie będę się już wdawał – na to trzeba zupełnie innych sił i innego charakteru. Mówię to jak chore dziecko, gdy się wdało w jakąś rzecz, przy której sobie rączki poparzyło [...] (25 IV 1893, s. 77). Odtąd jedynymi jego prawdziwymi towarzyszami pozostawały duchy wolne, jak Ryszard Dehmel, Konrad Ansorge czy pochodząca z Norwegii żona Dagny (pierwsza jego kobieta, porzucona Marta Foerder, popełniła samobójstwo, a Dagny została zamordowana przez polskiego kochanka w 1901 roku, gdy już Przybyszewski związał się z żoną swego przyjaciela – Jadwigą Kasprowicową, z którą później się ożenił). Do jego przyjaciół lub znajomych należeli między innymi idealizowany w listach Alfred Mombert, popularyzowani w pismach Edward Munch i Gustaw Vigeland czy Ernest Prochazka w Pradze, z którego pismem „Moderni Revue” współpracował. Wstrząsnął nim prześladowany przez Inkwizycję Goya. Przybyszewski uznał, że został on przez Cyganów i Żydów wtajemniczo-

ny w sztukę czarownictwa i brał udział w saba- tach. Zafascynowały go podczas podróży po Hiszpanii poplątane jak kabała arabeskowe uliczki satanistycznego Toledo, gdzie chciał zbudować swój ołtarz.

Przybyszewski wybrał więc nie ascezę religii, lecz anomię irreligii (choć nie wspomina dzieła Jeana Marie Guyau „L'Irréligion de l'avenir” z 1887 roku). Urzekł go irracjonalizm tego wszystkiego, co wokół siebie przeżywał. Żył całymi latami w ustawicznej walce o środki materialne, o które zwrócił się raz nawet do zaprzyjaźnionego proboszcza z rodzinnych stron. Zupełna hipokryzja czy raczej moralność panów? A może coś istotnie obłądnego, co w sobie odkrywał – [...] bardzo muszę z sobą walczyć i często, bardzo często cierpię z powodu samego siebie. Jest wiele podświadomie chorego i nienormalnego we mnie. To co naprawdę mnie ratuje to, że mam siłę poddawać się sile (9 IV 1898, s. 185). Chociaż czuł się jak król, który ma za sobą przynajmniej dziesięć kultur, w głębi pozostawał niespokojnym, kochającym alkohol Polakiem, drażniącym trzeźwych, spokojnych i systematycznych Niemców swą nie mającą ojczyzny irreligią. Kocham naród polski nade wszystko – wyznawał rodakowi zainteresowanemu jego osobą – ale pod względem sztuki nie wiem, co naród lub ludzkość znaczy (7 V 1896, s. 117). Musiał w Niemczech trwać ze względu na stosunkowo największe swobody w drukowaniu rozmaitych herezji i bluźnierstw, które katolicka Austria tępiła, a prawosławna Rosja wprost uznawała za zamach na cara jako zwierzchnika Cerkwi. W Polsce, chociaż ta nie istniała jako państwo, można było, jak przyznawał z ironią, drukować tylko litanie i książki do nabożeństwa, powieści historyczne à la Sienkiewicz lub nowele chłopskie. Przybyszewski wolał czytać „Demonomanię” Bodinusa, studia diabologów, pisma de Lancre'a czy Görresa lub rzadkie pismo Sinistrariego d'Ameno „De +

sodomia foeminarum” i tym podobne. Tak więc Niemcy bojkotowali i złorzeczyli, inni konfiskowali jego dzieła. Przybyszewski znał łacinę i grekę, studiował hebrajski i sanskryt, czytał po francusku i angielsku, ale przede wszystkim polonizował niemiecki język. Ostateczny szlif jego wczesnym piśmiom nadawał Dehmel – towarzysz w bluźnierstwie podpadającym pod te same paragrafy. Język pojmował jako swoje alter ego, które czasami przesłaniane jest przez iście babilońskie zamieszanie. Bał się, że w końcu nad żadnym z języków nie będzie mógł zapanować. Uciekał wtedy z obrzydliwego Berlina. Nad norweskim morzem i w górach regenerował siły. W Berlinie czuł, że jego mózg zanadto rozprasza się, że jest tam za wiele wrażeń i ludzi. Jego siła zaś rozbija się o inne potęgi. Dostrzegał więc to, co później opisze Simmel – destrukcyjny wpływ wielkiego miasta na życie duchowe człowieka. Każde wielkie miasto z czasem wydawało mu się okropne, niszczące jego nerwy. Motłoch – skarżył się – polski czy norweski, wszędzie ten sam. Po co to wszystko żyje i mnoży się? Miał on w sobie jakąś niepojętą tęsknotę, która kazała mu szukać Boga coraz to w innym miejscu, w ludziach o niepospolitej głębi duszy, żyjących poza stadem. Podziwiał i kochał ludzi, których pokarmem duchowym są osobliwe lektury i – co najbardziej zastanawiające, przekorne, perwersyjne i paradoksalne – satanizm.

W tym tak bardzo zwalczanym wówczas przez cenzurę pod karą więzienia satanizmie szukał Boga. Satanizm był po prostu wybawieniem z fatalizmu życia, nie zaś jego pomnożeniem w postaci dogmatycznej religii i instytucji Kościoła. Przybyszewski wierzył w fatalizm, w nieuchronne przeznaczenie swej duszy, która poddawała się losowi szczególnie wówczas, gdy było to jej na rękę. Gdy rzeczywiście cierpiał, wówczas usiłował się ratować z opresji

nawet za pomocą wyszukanej gry pozorów lub najwykleszego kłamstwa. Gdy Bóg zwlekał, Przybyszewski wołał Libera me Satan! Gdy go zwalczali duchowni, zwłaszcza w Polsce, pisał: Jezuici tu na gwałt na mnie uderzają, ale Bóg da, że się im oprę. Co też to za marny naród (XI 1898, s. 210). Jego stosunek do Boga był bardzo powikłany. Oskara Pianizę – donosił Prochazce – wydawcę „Himmelstragödie”, w której przedstawił Chrystusa jako syfilitycznego kabotyńca, a Marię jako prostytutkę, zaatakowałem z całą wściekłością osobiście oraz w liście otwartym, skazano go już wtenczas na rok więzienia, o czym nie wiedziałem [...] (X 1896, s. 131). Bo jest też zazdrość i rywalizacja, ale i poziom (czy smak?) w bluźnierstwie, jak wszędzie zresztą. Nazwisko Przybyszewskiego skojarzono z satanizmem i odtąd krępowano jego ruchy, jak tylko potrafiiono. Zwano go niekiedy Mesjaszem, w którym jest dwóch ludzi. Ten zły psuł opinię dobremu. Księżę biskup krakowski kardynał Puzyna miał mu zagrozić małą ekskomuniką i telefonował do pewnego urzędnika w ratuszu w Krakowie, żeby w żadnym razie mnie dla odczytu sali nie dał, nawet, gdyby o to się rozchodziło, że mam czytać na odbudowanie grobu jakiegoś świętego (koniec V 1900, s. 257). Prokurator wniósł oskarżenie o zbrodnię szerszenia niemoralności. Wszystko to są niezwykle istotne warunki, w jakich rodziła się irreligia Przybyszewskiego, jakże typowa dla tamtego czasu, by tylko wymienić czytane przezeń dzieło epoki „Le diable au XIX siècle” Leo Taxile’a, które okazało się głośną prowokacją i błagą.

Początkowo doktryna Przybyszewskiego była odmianą kultu życia jako naczelnej kategorii, wobec której odnoszono w II połowie XIX wieku wszelkie problemy religijne, metafizyczne, społeczne, moralne i artystyczne. Był to typowy biologiczny redukcjonizm, akcentujący wolitywne i związane z popędami czynniki.



Przybyszewski – obracający się początkowo w kręgach berlińskiej bohemy i pozostający pod wpływem Schopenhauera i Nietzschego (dzięki niemu zaczął nawet studiować medycynę) – zadebiutował pracą z zakresu psychologii twórczości. Skupił się na wybitnych jednostkach w rozprawie „Zur Psychologie des Individuums. Chopin und Nietzsche” (Berlin, 1892). Dziwna to była jednak rozprawa. Wyobraźnia Przybyszewskiego rozdarła była pomiędzy romantycznym kultem genialnej jednostki a rozwijającym się w czasach jego młodości naturalizmem, stąd też doszło do osobliwego pomieszania genialności z naturalistyczną witalnością. W ten sposób w rozważaniach nad genialną twórczością uwzględniał wszelkie stany ekstremalne czy nawet patologiczne. W poemacie „Totenmesse” (Berlin, 1893) utożsamiał pierwotną biologiczną ekspansywność, wolę mocy, z instynktem płciowym jako wolą trwania, kontynuacji i kreacji, źródłem i prasiłą życia. W jego piśmiach poezja mieszała się więc ze scjentyzmem, filozofia z gnozą, psychologia z fizjologią, a religia z irreligią. Była to epoka irracjonalnej syntezy, a Przybyszewski jej tworem. Z czasem zaczął on propagować koncepcję nagiej duszy. O pewnej książce Momberta pisał: Wspaniała rzecz, jak wszędzie przebijają naga dusza, ze swymi irracjonalnymi głębiami, i to przenikanie się wzajemne uczuć, nastrojów, wspomnień [...]. Piękna rzecz, piękna (16 V 1896, s. 120). W innym miejscu duszę Momberta porównał z morzem. Nie było już oporów, żeby nie chwalić tych, którzy podejmowali najbardziej zakazane i ukryte w głębi duszy ludzkiej tematy, jak Pierre Louys w Austrii – marny psycholog, ale artysta, który podjął wątek miłości lesbijskiej.

W latach następnych, wraz z umocnieniem się neoromantyzmu, Przybyszewski zrewidował jednak swój psychiczny naturalizm i stał się wyznawcą spirytualizmu. Naga dusza i wola

okazały się duchowe. Nietzsche został poddany krytyce. Był to stopniowy, świadomy powrót do spirytualizmu Słowackiego, który twierdził, że wszystko z ducha i dla ducha jest. Przybyszewskiego koncepcja nagiej duszy zaczęła w końcu przypominać „Ducha” Słowackiego, a docieranie do niej było zbliżaniem się do stanu nirwany, czyli panteistycznego zespolenia się z Absolutem. On sam nazywał Ducha Świętego geniuszem, rewidując swoją apostazję. Tak więc obok erotyzmu czy wręcz perwersji w jego myśleniu o metafizycznym źródle pierwotnej energii bytu pojawił się teraz pewien synkretyzm religijny, zwłaszcza sięganie po romantyczną heterodoksję i myśl Dalekiego Wschodu. Książki „Die Synagoge des Satans” (1892) i „Auf den Wegen der Seele” (1897) są wyrazem tych przemian światopoglądowych. Przede wszystkim jest to wyraz potrzeby wypełnienia niepełnej pustki po religii, jaką wypracował przez lata. Powiadał, podobnie jak Nietzsche, że życie potrzebuje złudzenia: człowiek musi żyć i coś robić, żeby się ogłuszyć i trzeba udawać, jak gdyby się w coś wierzyło, inaczej nie wiem jakby można znieść życie (III 1897, s. 142). Sposobem na życie stał się okultyzm – został nawet redaktorem „Metaphysische Rundschau”, ale był strasznie rozczarowany poziomem nadsyłanych prac teozoficznych i okultystycznych z terenu Niemiec. W końcu nie zapłacono mu za redakcję, a on sam spoliczkował swego pracodawcę. Przyznawał, że nuży go wieczna jednostajność zeznań czarownic i ta potworna głupota diabologów, że czynią go one zupełnie chorym. Historia satanizmu, której się podjąłem to obrzydliwa praca. Zobowiązałem się doprowadzić ją do końca, ale wyłazi mi gardłem. O do diabła, trzeba przewyciężyć szatana i samemu zostać szatanem – tak pisał do Prochazki, jakby doprowadzając do końca Nietzschego projekt śmierci Boga (i Szatana) (IV 1897, s. 142–156).

Byłby to stworzony w sobie szatan, szatan nie-skończenie cichy i dobry, i głęboki szatan – A co? Coś na kształt śmierci szatana? (22 V 1897, s. 156). Bo nie jest dobrze oddać się Szatanowi. Był wyraźnie zawiedziony satanizmem, ale w końcu umiał spożytkować go dla wyższej, bardziej wysublimowanej konstrukcji w tej nowej apostazji od satanizmu: Znając go powierzchownie, zdawało mi się, że poznam się z czemś niesłychanym, czemś, co by było au delà tej strasznej mizernej nędzy, tej ciasnoty i oszczędności sercowej naszych czasów, ale niestety! Mózg ludzki nie wytworzył nic ponad czarną mszę i gwałcenie małych dzieci. Coś jednakowoż skorzystałem. Poznałem detalia, poznałem epokę, spróbuję teraz stworzyć coś straszego, coś rzeczywiście strasznego, a tem samym pięknego. Bo nie znam piękności prócz niespożytej piękności w strasznym. Będzie to romans z końca 16-tego stulecia: „Opętani” (20 III 1897, s. 145).

W tym samym czasie w stosunku do rodziny w Polsce, zwłaszcza rodziców, zawsze zachowywał wszelkie pozory i powściągliwość w ocenie religii, jakby wypełniał postulat Guyau. Żył w stanie totalnej kulturowej schizofrenii, gdy zapewniał rodziców, iż dla niego wiele znaczy, że jego dzieci po polsku przynajmniej rano i wieczorem pacierz mówią. Po czym znowu powracał do swych ukochanych czarownic, do czarnych mszy i sabatu, bo to z czasem stało się jego ulubionym zajęciem. Gdy jeden z członków rodziny zdecydował się wstąpić do salezjanów, przyjął to skwapliwie do wiadomości i nadal pomagał mu finansowo. Pozwolił także na chrzest swej córki z małżeństwa z Dagny, a syna Bolesia chciał oddać do gimnazjum pod opiekę księży. Od lat powtarzano w Czechach plotkę, że on sam odprawia czarne msze, co go niezmiernie bawiło. Przybyszewski zresztą podobne wieści rozpuszczał, gdy pisał: Na razie robię eksperymenta

z maściami, jakimi się czarownice smarowały – wynalazłem wspaniałe recepta – próbuję oddzielić duszę od ciała i mam nadzieję, że uda mi się ją tak porządnie oddzielić, że nie będzie miała ochoty do cielska wrócić (27 VII 1897, s. 164). To, co jego przenikliwi nieprzyjaciele piętnowali jako zakłamanie, on sam w przypiływie zniechęcenia i szczerości nazywał wstrętną prostytutką duszy.

Przybyszewski, który mimo swych herezji zachował jednak przywiązanie do religii chrześcijańskiej i nawet życzył sobie spocząć w grobie obok kościoła w Górze, twierdził w 1917 roku, jakby zaprzeczając swym wczesnym poglądom, że wszystko, co tworzy współczesna sztuka, jest zgodne z objawieniem Chrystusa. Problem w tym, że chodziło o inną interpretację chrześcijaństwa niż podawana przez oficjalny Kościół. Wszyscy oni wierzyli, że posiadli ten ideał. Satanizm Przybyszewskiego to była po prostu jego indywidualna, irreligijna modlitwa do Boga, tak bardzo prywatna, że znalazł się w niej też bezbożny hymn nie ku Bogu, ale – o zgrozo! – ku Tęsknocie!<sup>2</sup>

Nie jestże taka apostazja, choć jest wstrętną prostytutką duszy, jednak umiarkowanie pozytywna, jeśli oferując spragnionym wolności elitom poczucie swobody, zarazem jakby hibernuje w nich te pokłady ludzkiego ducha, które mogą się dla nich wkrótce okazać jedynym azylem i orężem w walce? Witkacemu, który był wprawdzie apokryfem wyrafinowanym, ale jednostronnym i zdeklarowanym ateistą bez złudzeń i nadziei, tego oparcia w hipokryzji zabrakło, dlatego zginął w obliczu nawały prostdusznych, barbarzyńskich apokryfów. ●

<sup>2</sup> Przybyszewski S., *Moi współcześni*, Warszawa 1959, s. 21.

